Rok III. Lwów — w lutym 1901. Nr. 1.

Promień

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wychodzi raz w miesiącu.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie K. 3.20, z przesyłką 3.68; kwartalnie 80 h., z przesyłką ... Numer pojedynczy 40 h., na prowincyi 32 h. — W zaborze ... i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W innych krajach nal... do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Sapiehy l. 15.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały." *Krasiński.*

Dotychczasowy wydawca naszego pisma, kolega Wolski, widzi... zmuszonym, z powodu choroby, opuścić sw... stanowisko. Za... oświadcza on, iż solidaryzuje się najzupełniej z kierunkiem ...mienia", pozostaje i nadal stałym naszym współpracownikie...

CZEGO CHCEMY?

Pismo nasze rozpoczyna trzeci rok istnienia. Za... to przeciąg czasu, byśmy mogli ocenić dokładnie i bez... czy wykonaliśmy należycie nasz program, czy wpływ „Promienia" był dość silnym i głębokim. Nie będziemy więc dawali sprawozdania z naszej działalności, nie będziemy robili „rachunku sumienia"; czytelnicy nasi, sądzimy, potrafią to zrobić lepiej od nas. Ale właśnie tym naszym czytelnikom, przyjaciołom „Promienia", których liczba nieustannie wzrasta, winniśmy raz jeszcze wyjaśnić, do czego dążymy, czego chcemy.

Zdawałoby się, że takie wyjaśnienie naszego progra... jest rzeczą zbyteczną, że dotychczasowa działalność n... mówi sama za siebie. Tak, każde inne pismo nie potrzebo... łoby tego robić, ale inaczej rzecz się ma z pismem młodzi... z pismem, które ma coraz to innych czytelników.

„Promień" jest pismem, przeznaczonem dla młod... i to specyalnie — szkolnej młodzieży. To jedno określa

tanowisko i nasze zadania. Ze szkolnej młodzieży rekrutują ię zarówno czytelnicy, jak współpracownicy nasi, więc szkoła becna taka, jaką jest we wszystkich trzech zaborach, w całej Polsce musi przedewszystkiem zaprzątać uwagę naszą. Wiemy wszyscy, czem są gimnazya, gdzie młodzież polska się kształci. wiemy jak wszystko w nich jest obliczone na nasze wynarodowienie, na obniżenie moralnego i umysłowego naszego poziomu, na zabicie wszelkich dążeń idealnych, uczuć wzniosłych, porywów szlachetnych. Wiemy, jak starają się wzbudzić w nas prawomyślność, serwilizm i inne cnoty, dla najeźdzców naych niezbędne, bo na tych to uczuciach oparte jest głównie anowanie. Tak, my, przyjaciele i współpracownicy „Proia" wiemy to dobrze, ale iluż to jest takich kolegów, y tego nie odczuwają, nie rozumieją, bo szkoła zdążyła wywrzeć na nich swój zgubny wpływ! Czy mamy ich cić, czy mamy, że się tak wyrażę, „machnąć ręką" na nich? imy, że nie. Są między nimi zapewne jednostki złe, stynktach egoistycznych, myślące o karjerze, ale tych jest a najmniej. Zwykle są to albo jednostki słabe, które nie iły o własnych siłach oprzeć się złym wpływom, albo akie, które zbłądziły przez niewiadomość. Jednym musimy nódz w ich walce, innych oświecić; musimy przedstawić em jest szkoła teraźniejsza, jak szkodliwą jest ona dla ści, jak wpływa na wykoszlawienie charakteru, na obniiedałów młodzieży.

o pierwsze nasze zadanie, to część krytyczna, destrukcyjna, jeżeli można się tak wyrazić. Ale na krytyce poprzestać nie można; kto krytykuje, musi wskazać coś lepszego, kto stare pojęcia chce zwalczać, musi wskazać nowe ideały. I to jest druga, pozytywna część naszego programu, to jest właściwe nasze zadanie, do którego część krytyczna była tylko wstępem, tylko przygotowaniem.

Co ma być tym naszym ideałem? U nas, w naszem spoństwie jedna tylko może być na to odpowiedź — praca, nteresowna praca dla Polski, dla polskiego społeczeństwa, rzez to samo dla całej ludności.

Odpowiedź ta, tak jasna napozór, nie jest nią w rzeczyści, wymaga bliższego określenia. Bo o jakiej Polsce tu , — czy o szlacheckiej może, czy o Polsce magnatów,

ie było „demagogów", nie było demonstrancyi ani „band" ańczych. Odetchnęli swobodnie, bo Polska — zdawało m — na wieki już jest pogrzebana, ta Polska, która i oni i ojcowie ich zaprzedali najeźdzcom. Zdawało im się, że en zuchwały demagog, żaden „warchoł" nie zakłóci im już gdy spokoju, nie zdemaskuje ich egoizmu, nie wytknie im drady. Mogli teraz spokojnie wyznawać swe zasady, krzewić w społeczeństwie swe ideały. A ideały te — dla użytku polkiej publiczności przeznaczone — brzmiały: „praca i oszczędność". Ale jaka praca, czy może dla społeczeństwa? Nie, broń Boże, — to dobre dla warchołów: człowiek porządny powinien ać o siebie, o swoją rodzinę, a jeżeli każdy o sobie pamiętać będzie, to i naród będzie szczęśliwym. I rozpoczęła się pogoń za złotem, szalona pogoń, jakiej społeczeństwo nasze nigdy jeszcze nie widziało. Fabryki mnożyły się jak grzyby po deszczu, handel polski rósł nieustannie: rolnicy, przemysłowcy, lekarze, adwokaci, literaci — wszyscy „robili pieniądze". Przed młodzieżą zohydzano ludowy ruch, ośmieszano wstanie, zalecano złoto. Młodzież albo uwierzyła mentorom, zwątpiła o przyszłości. Rządy odetchnęły, bo widmo przestało je dręczyć.

Ta orgia egoizmu, zdawało się, wieki trwać będzie. Aż z piorun uderzył z jasnego nieba — cytadela warszawska 5 latach zapełniła się znów więźniami: Byli to pierwsi scy socyaliści, oni to zakłócili błogi spokój społeczeństwa. y wszyscy robili karjerę, oni próbowali poruszyć lud, miężony przez carat, wyzyskiwany przez szlachtę i mieczaństwo. Gdy „wyższe warstwy" goniły za złotem i opływały w ostatkach, na fabrykach w królestwie więcej zginęło dzi wskutek nieszczęśliwych wypadków niż w ciągu krwawego blężenia Plewny*). I znaleźli się niepoprawni zapaleńcy, którzy śmieli bronić ludu, oświecać go? To był czyn karygodny, czyn nie do darowania. I oto „czoło społeczeństwa" zaczęło plwać na nich, obrzucało ich błotem, urządziło nagonkę na socyalistów. Wystawiono ich jako złoczyńców, agentów rządu carskiego.

---

zenie dokonane przez Waryńskiego na podstawie danych

kupców i fabrykantów? Nie, bo ideałem młodzieży nie
być praca dla ugodowców, co przefrymarczyli ojczyz
na każdym kroku sprzedają się wrogom naszym: dla tyc
uciskają lud polski, co przeciw temu ludowi wzywają pon
nahajek kozackich lub żandarmów austryackich, co fet
cara lub stan wyjątkowy wprowadzają — dla tych młodzi
jedno tylko uczucie żywić może — pogardę.

I nie w nich, nie w t. z. „wyższych klasach" leży przy
szłość narodu; nie w ciemiężcach, nie w sprzedawczykac
leży ona, lecz w ludzie naszym. Ideałem więc naszy
jest praca dla ludu, a celem — wolna ludowa Polsk
Do celu tego musimy dążyć, tym ideałem musimy żyć: ka
nasz czyn, każda myśl, każde marzenie nawet powinno być
wcielaniem tego ideału w życie.

Takiem powinno być zadanie młodzieży naszej; chcemy,
żeby młodość to zrozumiała, przejęła się tem. Do tego dążył
„Promień" od pierwszej chwili swego istnienia i dążyć będzie
zawsze z całą wytrwałością, jakiej wielki ten cel wymaga
A ze wszystkiem, co stoi na przeszkodzie do jego urzeczy
wistnienia — z dążeniem najeźdźców do wynarodowienia
z egoizmem — czy to indywidualnym, czy kastowym — z
dzeniami, z ignoracyą — walczyć będziemy uporczywie
względnie, aż zwyciężymy.

PROCES PROLETARYATU.

Było to w 15 lat po stłumieniu styczniowego powstan
Kwiat narodu — wszystko co było w nim lepszego, szlache
niejszego, co żyło i pracowało dla ideału, legło na polu bitw
marniało na tułactwie, lub powędrowało w mroźne pustkowi
Syberyi... Na chwilę zapanowała w kraju cisza grobowa, smu-
tek i apatya owładnęły społeczeństwem. Nie długo to trwało —
zaledwie lat kilka, a już nowi ludzie zjawili się na arenie
życia, nowe „ideały" pochłonęły uwagę ogółu. Wszyscy ci,
podnieśli głowę. Hulaszcza i ugodowa szlachta, kupcy-robi
sze, dziennikarze — karjerowicze — wszyscy ode
bodnie: nie było już tego upiora, który ich stras

Nic nie pomogło — przykład zapaleńców podziałał. Co ..o szlachetniejszego w narodzie, zaczęło się powoli otrząsać idei ugodowców, z idei „pracy i oszczędności". Szeregi so-alistyczne rosły i we 2 lata po pierwszych aresztach Ludwik ryński zakłada pierwszą socyalistyczną polską partyę — ıletaryat". Partya ta wydaje w tajnej drukarni pismo, zy kółka robotnicze, stara się oświecić lud wiejski i miejski, a zarazem występuje do walki z caratem. Walka ta prowadzona była z taką energią, że rząd zmuszony jest liczyć się z partyą, ale wściekłość jego nie ma granic. Po długich staraniach wpada on nareszcie na na trop organizacyi i w 5 lat po pierwszych aresztach następują nowe. Dla zgnębienia ruchu chwyta się rząd najostrzejszych środków, ucieka się do sądu wojennego. Ten sąd „krzywoprzysiężny" wydaje niesłychanie surowe wyroki — dziesiątki ludzi wysyła do kopalń syberyjskich, czterech skazuje na śmierć. D. 28 stycznia 1886 r. na stosach cytadeli warszawskiej stracono czterech obrońców ludu — Kunickiego, Bardowskiego, Ossowskiego i Pietrusińskiego,

A „społeczeństwo" nasze, „czoło narodu" nie powstrzymało się nawet na widok tych świeżych mogił i plwało wciąż na socyalistów. Lud jednak i młodzież sądzili inaczej, — widzieli w nich męczenników idei, obrońców wolności, którzy nie słowem lecz czynem dowiedli swej miłości dla ludu, dowiedli, że życie gotowi oddać w ofierze.I poszli za nimi. Ruch socyalistyczy rósł i doszedł dziś do takiej potęgi, że rząd carski drży przed nim. I dziś, po 15 latach — dzięki tym setkom męczenników, którzy dla idei ginęli — Polska jest bliższą wybicia się na wolność, niż była kiedykolwiek. dla ludu naszego dzień już świtać zaczyna.

JAK NALEŻY DĄŻYĆ DO REFORMY SZKÓŁ ŚREDNICH?

(Z powodu broszury, Całczyńskiego: »Jak wyglądać powinna szkoła średnia«?)

Nie od dziś toczy się walka o gimnazyum, nie tylko nasz kraj ją przebywa. Przebywają ją i toczą wszystkie cywilizowane narody europejskie. Niemcy zwalczają dzisiejszy

system szkolny, opierając się na gruntownych i sumienny studyach pedagogicznych, Anglicy przez zakładanie coraz nowych rodzajów szkół, Francuzi przez zwalczanie szkół du chownych i t. d. wszędzie — jak i u nas — walka ta budz żywe zainteresowanie szerokich warstw społeczeństwa, wyw łuje dyskusyę nietylko wśród sfer nauczycielskich, ale i śród tych, którzy na pozór najbardziej są oddaleni od s i profesorów. Nie dziw, że kwestya ta tak obszernym i nieustannym podlega roztrząsaniom, bo wśród t. zw. inteligentnej części społeczeństwa nie ma dziś nikogo, kogoby ona nie obchodziła, ci „szczęśliwcy“, którzy już ze szkół wyszli, choć może wiele przeżyli w nich chwil jasnych i wesołych, to przecież rzadko wspominają z przyjemnością o szkolnej ławie, częściej uważają te czasy za przykry i uciążliwy sen, zadowoleni że już minął, najczęściej mają o nim tylko słowa gorzkich wyrzutów i narzekań. A ci, którzy są jeszcze w szkołach średnich? Wszak wiemy, że ci najmniej są z nich zadowoleni, że najwięcej na nie utyskują. Wobec tego zupełnie naturalnym jest objawem, że tak wielu wychodzi ze szkół z wyziębłem sercem, które nie zabije głośniej na odgłos nowych haseł i ideałów, z leniwym umysłem, który nie chcąc czy nie mogąc zająć się sprawami poważnemi, tonie w obojętności i apatyi.*)

Mała to pociecha, że tak samo źle — jak w szkołach średnich — jest i na uniwersytetach i szkołach politechnicznych i innych wyższych zakładach naukowych, przeciwnie tem bardziej powiększa się znaczenie szkół średnich, tem bardziej ubolewać należy nad ich opłakanym stanem. Bo oto, zbadawszy bliżej ten system wychowawczy, jaki — abstrahując od zmian narodowych i lokalnych istnieje w całej Europie, widzimy, że szkole średniej w porównaniu z innymi zakładami naukowymi przypadło w udziale między innemi jedno nadzwyczaj ważne zadanie, którego nie poruczali mu pewnie pierwsi szkół średnich organizatorowie; nie spodziewali się bowiem nigdy, by stosunki taki obrót wziąć mogły. Szkoła średnia jest dziś jedyną insytucyą, w której młodzież

*) Por. artykuł w „Krytyce“ ze stycznia 1901 p. t. „Życie umysłowe akademickiej młodzieży lwowskiej“ którego autor zupełnie statystycznie i cyfrowo opisuje ospałość umysłową większej części młodzieży.

cierpie wykształcenie ogólne. To bowiem czego uczy się po skończeniu szkół średnich, odnosi się tylko do ich zawodu, wchodzi w zakres prawa, medycyny, techniki i t. d., ale nie kształci już umysłu ogólnie, nie wprawia do tego, jak spełniać trzeba prawa i obowiązki względem społeczeństwa. Przyznać trzeba, że wynik to dla wielu tych, którzy jeszcze do szkół średnich uczęszczali niewyraźny i — jak przypuszczam — niezbyt przyjemny. Iluż to z nich przeklinając swe marnowanie czasu na ławie szkolnej (zdarzające się niestety tak często) odkładało wszystkie swe niezaspokojone dążności i pragnienie do tej chwili, kiedy zrzucą z siebie mundur i więzy gimnazyalne i z całą swobodą i z całem zaparciem poświęcą się temu, ku czemu młodość ich oddawna się rwała. Ale to stosunki stawiają opór. Wszakże ideały i pragnienia, jakie napełniają duszę młodzieńczą iść muszą w kąt, albo spełniać poniżającą rolę i ciągnąć taczkę przyszłego zawodu! Wobec tego staje szkoła średnia w zupełnie innem świetle, społeczna jej doniosłość przybiera szersze rozmiary od tych, na jakie je zakroili jej twórcy, tem baczniejszą więc zwraca na siebie uwagę całej inteligencyi naszego społeczeństwa, tem gorliwszej i sumienniejszej wymaga krytyki.

Na brak tej krytyki uskarżać się nie można. W Anglii np. wszelkie próby, jakie tylko znajdują uznanie, wchodzą natychmiast w użycie, powstają szkoły, odpowiadające przepisom hygieny i kształcące młodzież tylko w tych przedmiotach, które jej w życiu korzyść (?) przynieść mogą, klasyczne języki naturalnie wyrzucono z planu naukowego, natomiast większą uwagę zwraca się na indywidualizm wychowańców. We Francyi wprowadzony niedawno system „bifurkacyjny“ zostawia uczniom klas wyższych, dowolny wybór kierunku humanitarnego lub realnego. W Niemczech gimnazya realne torują drogę jednolitej szkole średniej, przyczem udoskonalono wysoce naukę języków klasycznych. Ale wyznać trzeba, że usiłowania reformy we wszystkich tych krajach nie odniosły skutków pożądanych, że dalej — jak i przedtem — dają się słyszeć nieustanne na szkoły narzekania. Widocznie nie umiano trafić w samo sedno kwestyi wychowania.

A u nas? W dziedzinie czynu i reform nie zrobiono jeszcze nic lub bardzo mało, boć przecież trudno uważać za

reformy, drobne ulepszenia w nauce języków klasycznych (dozwolony użytek drukowanych preperacyj) lub ograniczenie katalogów klasowych i t. p. Stan więc naszych szkół średnich uważać można za niezmieniony od kilkunastu lat. Na stan uskarżano się już nieraz, sądzę jednak, że ponieważ skargi te są po większej części ogólne, a nawet ogólnikowe, więc nie odrzeczy będzie poprzeć paru cyframi. Cyfry te czerpane są z „Muzeum“ organu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

W austryackich szkołach średnich w r. 1898/9 przeciętnie 19·57% uczniów nie odnosi żadnej korzyści t. zn. nie uzyskuje postępu dostatecznego. Przytem charakterystycznym jest fakt, że procent ten jest taki sam w gimnazyach jak i w szkołach realnych. Widać z tego, że jeżeli gimnazya nie są ideałami, to szkoły realne nie są niemi tem bardziej, skoro po odrzuceniu owego rzekomo tak znienawidzonego klasycyzmu nie potrafiły lepszych rezultatów osiągnąć. Również pouczającą jest cyfra, która podaje ubytek uczniów w ciągu jednego roku szkolnego, a którą otrzymujemy, porównywając frekwencye w obu półroczach. Otóż takich, którzy, czy to niezdolni do pracy czy zniechęceni niepowodzeniem, wystąpili ze szkół i jak przypuszczać można zwichnęli swą przyszłość było w roku 1895/6 przeszło 11%. Jest to najwyższa cyfra z wszystkich krajów koronnych Austryi, bo też żaden kraj nie marnuje tyle młodzieży co nasz. Prawie ósma część uczniów odpada po drodze. Ubytek ten w gimnazyach wynosi 5·3%, w realnych szkołach 6%. Jeżeli dodamy jeszcze, że i procent „poprawek“ jest w Galicyi wyższy niż w jakimkolwiek innym kraju, (więcej niż szósta część uczniów otrzymała w r. 1895/6 „poprawkę“) że nareszcie prawie 20% maturzystów nie zdaje egzaminu dojrzałości, to otrzymamy pobieżny pogląd na wynik, działalności wychowawczej gimnazyów.

Przypatrzymy się teraz choć trochę szczegółom. Więc przedewszystkiem uczeń wstępujący do szkoły średniej ma do pokonania — egzamin wstępny. Dzieciak, który ledwie odrósł od ziemi, ma już drżeć przed nieznanymi mu profesorami, „siadać“ do egzaminu, słowem przebywać wszelkie fazy swej tremy egzaminowej, jakie później będzie przebywał — podczas matury. Czyż wobec tego należy się dziwić, że tylu traci głowę i „przepada“ przy pytaniu? I gdybyż przynajmniej

ów egzamin wstępny odpowiadał swemu zadaniu, gdyby rzeczywiście był owem sitem, przez które przesiać się mają tylko lepsi i zdolniejsi uczniowie! Ale dzieje się wręcz przeciwnie. Oto statystyka wykazuje, że we wszystkich szkołach średnich postęp w naukach jest stosunkowo najgorszym w klasie I. I tak w r. 1898/6 w szkołach realnych otrzymało postęp zły w kl. I. 27·33%, w gimnazyach 31·81%, (w klasach wyższych stosunek jest odwrotny na korzyść gimnazyów). Z tego widać, że z jednej strony początkowa nauka w gimnazyach jest cięższą niż w szkołach realnych, ale w klasach wyższych stosunek ten zmienia się na wprost przeciwny, z drugiej strony uderza wielka cyfra złych uczniów kl. I. Pochodzi to nie skąd inąd, jak tylko z tego, że tak wielu uczniów niezdolnych do szkół średnich wstępuje. Po cóż więc egzaminy wstępne? — O egzaminach dojrzałości pisano już tyle, że powtarzać tego nie potrzeba.

Ograniczona takimi dwoma etapami odbywa się nauka w szkołach średnich.

(C. d. n.)

TAK BYŁO (fantazya).

Piękna, rozległa oaza niosła w pustynię żarem dyszącą wilgotny chłód z zapachem bujnych traw i pól ryżowych. Mur wysokich palm niby mur piersi rycerskich, bronił przystępu do wnętrza oazy gorącym wiatrom pustyni.

A wiatry te były straszne w swej bezwzględnej drapieżnej chciwości. Nieustannie a zuchwale przedzierały się one w głąb pomiędzy palmy wyniosłe, a chociaż ciągle ginęły, nie dobiegłszy serca oazy w wilgocią i chłodem przesiąkłem powietrzu, zastępowały je natychmiast inne, które parły i parły naprzód, walcząc nieustannie a zuchwale.

W środku oazy piękne soczyste trawy i pola, falujące ciężkim kłosem ryżu, rzadko odczuwały te walki graniczne: rozwijały się one bez troski, obficie kwiaty i nasiona wydając.

Okryty szerokiemi liśćmi palm od słońca promieni szemrał strumyk, którego woda była tak czysta, jak niebo, co nocami gwiazdy swe w jego wodach odbijało. Zimna woda strumyka była balsamem kojącym, najstraszliwszą męczarnią i mę-

czarnią pragnienia, i sam ten strumyk był, jak serce bijące w piersi człowieka, co zasila swą krwią cały organizm, bo też wody jego dawały życie wszystkim tym palmom pięknym a dumnym, trawom zielonym — kłosom od ziarna ociężałym.

Strumyk, przepływając pod dachem z liści, biegł wesoło w dal; ale pustynia wkrótce stanęła mu na drodze. Gorącymi wiatrami wysuszyła ona jego wody ostrym piaskiem zarzucała jego głębię, i strumień, i sile tej nie mogąc podołać wchodził w głąb, wsiąkał w piasek i pod ziemią nurtował nienawistną pustynię, by znów gdzieś wybić się na słońce, dając życie drzewom i kwiatom, tworząc morze i morze oazy.

Tam, gdzie strumień ginął pod piaskiem, toczył się najstraszliwszy bój pustyni z palmami. Palmy liśćmi swemi osłaniały wodę i dumnie wznoszące swe czoła, patrzyły na piaski od słońca się mieniące; pustynia zażarta i wściekła wiatrami swemi usiłowała odsłonić liście okrywające strumień i wysuszyć wody. Z wciekłością odrywał wicher pierzaste piuropusze i ciskał je z tryumfem w pustynię, ale wytrwałe palmy coraz to nowemi pokrywały się liśćmi i coraz to się odradzając, walczyły nieugięte.

Bój trwał wieki i dziesiątki wieków...

Czasem strumień, zasilony wodą z głębi ziemi, posuwał się w pustynie. Wtedy palmy wyrastały coraz dalej i coraz głębiej się wdzierały w piaszczyste pola, pomimo, że wściekłe huragany usiłowały je powstrzymać. Czasem znów pustynia, zebrawszy swe siły, rzucała się na oazę, odzierając z liści drzewa i susząc wody strumienia. Wtedy strumień stawał się krótszym wody jego mniej obfitemi, a palmy, opanowane przez wichry i zasypane piaskiem, usychały i padały pokonane.

Aż oto przyszły ciężkie dla oazy chwile. W strumieniu poczęły się zmniejszać wody. Coraz krótszy stawał się strumień, coraz to dalej w głąb wdzierały się wichry. A pustynia srożyła się coraz bardziej. Pierwej rzucała swe wiatry na oazę tylko z południa, teraz rzuciła się zewsząd — wschodu i zachodu niosąc niezliczone masy piasku gorącego, wyjąc straszliwie i niszcząc wszystko na swej drodze.

Palmy walczyły mężnie i ginęły zawsze dumnie i wyniosłe choć z liści odarte.

Nakoniec wichry wdarły się do samego serca oazy, do źródła. Śmierć i zagłada zawisła nad wszystkiem.

Daremnie palmy walczyły wytrwale: mało ich zostało, by zwyciężyć mogły, daremnie nowe liście wypuszczały na miejsce oderwanych — wszystko daremnie, bo oto przyszły wiatry z zachodu na pomoc wschodnim, zniszczyły, zasypały piaskiem i strumień i trawy i palmy....

Pustynia zapanowała tam, gdzie niegdyś kwitło życie. Tylko nagie z liści odarte pnie palm wskazywały podróżnemu co chciał tu znaleść schronienia, że był tu niegdyś i chłód i spokój i cień...

Tryumf pustyni nie był przecież zupełnym, bo oto źródło, które zasypane piaskiem, nie wyschło jednak, wybiło się na powierzchnię i błysnęło w słońcu taflą swej wody. Palmy podsycone wodą puściły nowe liście, i rozpoczął się bój na nowo z pustynią. — Lecz siły były nierówne i znów piasek pokrył wszystko...

Aż oto znów z pod piasku wybiła się woda jakoś dziwnie przeźrocza a chłodna, i popłynęła głębokim strumienia korytem przez piaski.

Palmy wzniosły głowy i puściły nowe liście... Znów się bój rozpoczął straszny, bezwzględny. Pustynia rzuciła na strumień cały legiony wichrów, całe góry piasku, — po tysiąc razy zerwała liście z palm po tysiąc razy swą nawałą pokryła ziemię całą, a wytężywszy wszystkie swe siły i ponowiwszy swe szalone ataki setki tysięcy razy, nakoniec przerwała dzieło zniszczenia pewna, że zwyciężyła zupełnie.

Zaledwie jednak opadły tumany kurzu, okazał się strumyk w słońcu połyskujący i palmy jasną zielonością nowych liści porosły...

Pustynia znowu zawrzała, ale nic wskórać nie mogła, bo setki tysiące i miliony ataków nie mogły zniszczyć życia cudownie odradzających się palm, nie mogły zasypać strumienia, którego źródło coraz nowe i nowe wody ze swej piersi wyrzucało.

Bój trwa. Tuman pyłem pokrył ziemię niby krwawą mgłą. Nawała wichrów przelatuje nad oazą w kłębach i splotach straszliwych. Deszcz piasku i drobnych kamieni zakręcanych przez wicher spada na ziemię, tworząc całe zaspy

i fale i pagórki. Pędem powietrza pochylone palmy dotykają wierzchołkami ziemi, jakby chciały się ukryć przed tą straszliwą nawałą. Słońce czerwoną z przerażenia źrenicą patrzy na świat...

EWELINN ESTE.

GALICYA W XIX STULECIU.

Wiek XIX zastał naród polski w niewoli, a Polskę wykreślono z liczby państw europejskich. Dokonały tego trzy rozbiory: z 1772, 1793 i z 1795 r. Nie pomogła dążność do odrodzenia kraju w 1772 r., która przejawiła się we wzroście dobrobytu, wytwórczości, zaludnienia kraju, w dążnościach reformacyjnych sejmu czteroletniego, niepomogła ostatnia świetna chwila naszych dziejów — powstanie Kościuszkowskie z owym manifestem połanieckim, ogłaszającym wolność osobistą chłopa.

Znaczna część zaboru austryackiego powstała z zaboru 1772 r., była to część dawnej Polski dążnością do odrodzenia się nietknięta. Pokornie, bez protestu poddała się ta prowincya obcemu jarzmu. Ale wkrótce nalazła do kraju obca administracya, rekrutująca się z awanturników wszystkich prowincyi austryackich, której zdzierstwo rząd musiał groźbą stryczka hamować, nastąpił też upadek ekonomiczny kraju, odciętego od ujścia Wisły i przeciążonego nadmiernymi podatkami. Oprócz podatków stałych obciążały ludność opłaty celne, stemplowe i t. p. Zmonopolizowanie przez rząd sprzedaży prochu strzelniczego, siarki, „tabaki“ i soli wywołało drożyznę najniezbędniejszych artykułów. Centnar soli, którego wydobycie w Wieliczce i Bochni kosztowało 20 krajcarów sprzedawano po 5 złr. w Galicyi.

Wszystko to musiało zrodzić chęć wydobycia się z pod opieki austryackiej. Lecz niezdolna do samodzielnego działania i polegania na własnych siłach szlachta galicyjska nie mogła zdobyć się na dążność do złączenia się z resztą Polski: staje się ona zwolenniczką projektu łatwiejszego do urzeczywistnienia — przyłączenia Galicyi do Węgier. Ale pod wpływem wieści z Polski nadchodzących o układach tajemnych Polski z Prusami w celu odzyskania Galicyi, zaczynają wymagać

osłabienia więzów łączących ją z Austryą, odrębnej administracyi i armii składającej się z krajowców. Lecz wiemy, że wypadki końca XVIII st. przyjęły niepomyślny dla nas obrót, nastąpiły nowe rozbiory. Nic więc dziwnego, że żądania Galicyi nie były uwzględnione, obradująca w Wiedniu komisya dla spraw galicyjskich, orzekła na progu XIX st., że w interesie monarchii austryackiej wypada ludność polską w Galicyi wynarodowić.

W 1801 r. Szkoła główna krakowska zorganizowana została na wzór uniwersytetów austryackich. Profesorów polskich zastąpili niemieccy, przedstawicieli germanizacyi i propagatorowie centralizacyi państwowej. Z uniwersytetem krakowskim został połączony lwowski, we Lwowie pozostawiono tylko liceum dla nauk teologicznych, prawnych i filozoficznych.

Z życia publicznego, z urzędów i sądów wygnano język polski, zamieniwszy go łacińskim, który miał torować drogę niemczyźnie.

U wstępu XIX w. liczyła Galicya około 3 mil. ludności, z tych przeszło 17½ tysięcy cudzoziemców, około 200.000 żydów. Rząd starał się ściągnąć ich do Galicyi, chcąc w nich mieć przeciwwagę przeciwko polszczyźnie. Jednak chciwy skarb austryacki chciał też mieć z nich źródło dochodu i ustanowił na nich podatek prestacyjny po 4 złr. od rodziny, oraz koszerne i świeczne; z wolności wyboru miejsca mógł korzystać żyd opłacający najwyższą daninę. W dobrach rządowych i pojezuickich osadził rząd kolonistów niemieckich, przytem starał się ściągnąć z Niemiec protestantów, bo sądził, że ci nie zleją się z miejscową ludnością.

Czy się udało rządowi austryackiemu wyplenić polszczyznę, wynarodowić Polaków? Kto zna dzisiejszą Galicyę, ten może powiedzieć — próżny trud. Praca germanizacyjna poszła na marne. Rządy austryackie zaszkodziły nam pod względem narodowym o tyle, o ile wtrąciły nas w nędzę, o ile zatrzymały nasz rozwój kulturny i — przez to samo — zmniejszyły naszą zdolność asymilowania cudzoziemców wśród nas osiadłych.

Dlaczego jednak działalność rządu austryackiego nie miała skutków przez rząd wiedeński upragnionych? Dlatego, że Galicya nie jest krajem, ale cząstką kraju, dlatego, że niema narodu galicyjskiego i Polacy tutejsi tem się różnią od innych

słowian austryackich, że są odłamem wielkiego historycznego narodu. Z za kordonu od czasu do czasu przychodził prąd odradzający Galicyę. Wypadki odbywające się w 2 innych zaborach budziły Galicyę, dodawały jej otuchy i oczyszczały jej duszę od czarno-żółtej pleśni.

Jeżeli wiek XIX nie zastał Polski, jako państwa, to zastał Polaków, jako siłę polityczną, z którą liczyć się trzeba było, zastał owe słynne legiony polskie. Od 1807 kawał Polski niepodległej — Księstwo Warszawskie — już sąsiaduje z Galicyą. W 1809 r. na Księstwo napadają wojska austryackie. Warszawa musiała się poddać, lecz wojska polskie przechodzą granicę zaboru austryackiego. Armia polska zajmuje Siedlce, Lublin, Sandomierz, Zamość, Lwów. Wojna kończy się zwycięstwem małego Księstwa Warszawskiego, o przestrzeni 1860 kw. m. i 2,400.000 ludności. Nie pozwolono mu jednak należycie wyzyskać zwycięstwa i księstwo zyskuje zaledwo 919 mil kw. i 1½ mil ludności, tj. cztery departamenty: lubelski, radomski, krakowski, i siedlecki.

Wojna 1809 r. dowodzi, jak potężnym czynnikiem militarnym jest sąsiedztwo prowincyi zaludnionej przez ten sam naród.

W 1815 r. Księstwo Warszawskie, uszczuplone przez kongres wiedeński, jest przez tenże przeobrażone w Królestwo polskie. Kraków odcięto do Królestwa i utworzono zeń rzeczpospolitą krakowską, którą oddano w opiekę Austryi, Rosyi i Prus. Ciężka to była opieka. W 1846 r. Kraków zostaje wcielony przez rząd austryacki do Galicyi, ale w każdym razie, nie ulegając germanizacyi aż do 1846 r., mógł Kraków przyczynić się do podtrzymania polskości w ościennej Galicyi.

Nie chcąc by młodzież Galicyjska pobierała nauki w rzeczypospolitej krakowskiej, rząd austryacki w 1817 przeobraża kolegium lwowskie w uniwersytet z wydziałami: teologicznym, prawnym, filozoficznym i medyko-chirurgicznym.

Ustrój polityczny Galicyi był uformowany na wzór innych prowincyi austryackich. Cesarz Franciszek I. wprowadza w życie patentem z 1817 r. sejmy postulatowe. Sejm nosił stanowy charakter, reprezentowani w nim byli: duchowieństwo, magnaci, szlachta (rycerstwo) i mieszczanie królewscy. Stan duchowny wysyłał biskupów, opatów, kapituły katedralne

posyłały swych przedstawicieli; mieszczaństwo reprezentowali dwaj delegaci miasta Lwowa. Szlachta wylegitymowana i posiadająca dobra, z których opłacało się podatek 300 złr. stanowiła stan rycerski. Sejm zwoływał się dla wysłuchania życzeń (postulatów) cesarskich, rozkładu ustanowionych przez rząd podatków, obmyślenia próśb do tronu i t. p. Stałym organem Sejmowym był Wydział krajowy, złożony z deputowanych stanów i urzędników. Zarówno sejmowi, jak i wydziałowi krajowemu przewodniczy prezydent gubernii.

Prośby stanów rząd uwzględniał tylko w bardzo rzadkich wypadkach.

Np. w. 1829 r. przypominały stany o potrzebie założenia instytutu kredytowego. rząd odpowiedział, że uchwała później nastąpi: w 1838 r. wznowiły stany prośbę, w 1840 r. prosiły stany o przyspieszenie rozpraw nad towarzystwem kredytowem, w 1841 odpowiedział cesarz, że „na ten przedmiot szczególniejszą zwrócił uwagę“.

W 1835 r. zwróciły uwagę stany że Galicya płaci o 7% więcej podatku na garncu gorzałki, niż Morawy, i prosiły o zniżenie tego podatku. Na przedstawieniu to rząd odpowiedział, że prośby te pod rozbiór wzięte zostaną i w 1836 doniosły władze że przedstawienia stanów zostaną rozpatrzone, ale w końcu tego roku odtrzymano odpowiedź: „zmniejszenia opłaty ze względów finansowych w żadnym razie dopuścić nie można“.

Jeszcze w 1817 r. podniesiono podatek dominikalny (gruntowy) z 24 do 48%.

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej podatek w Galicyi wynosił 1,870.000 złr., w r. 1840 z Galicyi, zmniejszonej wskutek wojny 1809 r. skarb wybiera podatku znacznie więcej. Podług obliczenia ks. Kalinki wywożono w latach 40-ch z Galicyi po 35 mil. złp. rok rocznie.

Wzrost podatku nie odpowiadał wzrostowi sił ekonomicznych Galicyi. Ten sam rząd, który starał się wycisnąć z Galicyi ostatni grosz, nie dbał bynajmniej o rozwój ekonomiczny kraju — przeciwnie rozwojowi temu przeszkadzał.

Klimat i gleba Galicyi nadaje się do uprawy buraków, co może być podstawą produkcyi cukrowniczej. Lecz rząd przeciwdziałał rafinacyi, wogóle rozwojowi cukrownictwa

w Galicyi, by Galicya nie przestała być rynkiem zbytu dla przemysłu austryackiego, następnie uznawał, że uprawa buraków może zaszkodzić uprawie tytoniu, z którego rząd zyski ciągnął.

Znane są wypadki, że zakładane przedsiębiorstwa fabryczne musiały być niezwłocznie zwijane, bo albo rząd nakładał na nie podatki przewyższające ich możliwe zyski, albo też trzeba było posyłać wyroby do Wiednia dla ostemplowania.

Rozbiór Rzeczypospolitej odbył się przed zniesieniem dawnych stosunków pańszczyźnianych.

Józef II, przedstawiciel tak zw. „oświeconego despotyzmu„ patentem z 1787 r. nadał wolność osobistą chłopom, ale pańszczyzna pozostała nie zniesioną. Wydane zostały liczne przepisy ją normujące. Przepisy te miały na celu nie obronę interesów chłopa, ale wytworzenia wśród klasy włościańskiej mniemania, że rząd cesarski jest jego obrońcą. Wszelkie powinności państwowe chłop płacił przez pośrednictwo szlachcica, mógł więc mniemać, że to pobiera od niego nie rząd, ale szlachcic. Cały system był uciążliwy tak dla chłopa, jak i dla szlachcica, a dla kraju rujnujący, bo tamował wszelki rozwój.

Nic więc dziwnego, że sejm galicyjski w 1843 i 1845 latach przejawił dążność do zniesienia pańszczyzny. Lecz rząd austryacki nie chciał reformy, ze względów politycznych pragnął utrzymania stosunków, dzięki którym chłopa mógł by rzucić na szlachcica, bo ten ostatni posiadał świadomość narodową, i wskutek tego był uważany przez rząd zaborczy za wroga. Szlachta zaś na radykalne rozwiązanie kwestyi chłopskiej zdobyć się nie mogła.

Pomimo sąsiedztwa królestwa kongresowego Galicya, której ludność miejską stanowili urzędnicy niemcy, zniemczeni żydzi i nadzwyczaj nie liczna warstwa polskiego mieszczaństwa, uległa germanizacyi; wykształcony nawet galicyanin obojętniał do sprawy narodowej.

Nastał 1830 i 1831 r. —krew polska leje się o niepodległość narodu. Cała postępowa, wzdychająca do wolności Europa współczuje naszej sprawie. Młodzież uniwersytecka (nawet synowie biurokratów austryackich), zostaje zelektryzowaną wiadomościami z Warszawy. i bieży walczyć wśród szeregów powstańczych, zapał rozlewa się i na inne warstwy. Całe

kolumny żołnierskie przechodzą kordon. Świadomość narodu, skala uczuć narodowych wzrasta.

Prośby o wprowadzenie języka polskiego do sądów, o rozszerzeniu nauczania języka polskiego w szkołach, o zapomodze dla teatru polskiego we Lwowie spotykamy w sprawozdaniach sejmowych od 1830 r.

WŁ. STUDNICKI.

KORESPONDENCYE.

Kraków w styczniu 1901. Kurs zimowy minął.... nie pisałem nic do naszego organu z różnych przyczyn. Ale obecnie mając więcej czasu wolnego, zrobię rachunek z całego minionego kursu.

W gimnazyum I., III. i realnej szkole urządzili koledzy powszechnie znane wieczorki ku czci Adama Mickiewicza. Jak zwykle dużo hałasu, krzyku, wydatków, a ogromne fiasko. Ale o czemś podobnem, co się zdarzyło w III. gimnazyum ani nie słyszeliśmy ani nie czytaliśmy. Zdarzenie to charakteryzuje pewną część kolegów, że im nie chodzi o cześć dla wieszcza, ale inne pobudki kierują ich działaniem. W okresie wieczorkowym wybrano, a właściwie — wybrali sami siebie „paniczykowie" w III. gimnazyum do komitetu i zaraz na pierwszem posiedzeniu obradowali nad najważniejszą — według nich, kwestyą wieczorku t. j. nad komersem.

Na tem charakterystycznem posiedzeniu wyznaczyli na każdego kolegę pewną sumę (od 2—20 kor.) zrobili następnie kosztorys wieczorku — jak zwykle na 600—800 kor., i chcieli popisać się przed zaproszonymi gośćmi.

Na szczęście i ku ogromnej radości kolegów i niektórych profesorów wglądnął w to radca Sołtysik. Aby usunąć kolegów od wstrętnych komersów zaproponował komitetowi poranek zamiast wieczorku. Ale „panicze" zostali przecież trąceni w najsłabszą strunę; co wart wieczorek, jak nie ma być komersu? A więc powiedzieli dyrektorowi, że oni poranku nie będą robili, bo to cały „efekt" psuje! Właściwie powinni byli powiedzieć „p. radco! jeżeli urządzimy poranek, to później długo trzeba czekać na „bibę" do której tęskniliśmy przez siedm lat". Ale radca przeszedł do porządku dziennego nad

zachciankami „gogusiów“ i podał myśl urządzenia poranku, kolegom z VII. klasy: ci rzeczewiście według swych sił uczcili naszego poetę.

Z radością konstatuję, że tradycyonalne komersy wychodzą z mody; żeby to jeszcze dało się znieść szablonowość programów wieczorkowych ku czci naszych poetów....

* * *

Armia „wyrzutków polskich“ stoi obecnie na leżach zimowych, wprawdzie tu i ówdzie można widzieć grupkę wychodzącą z szynku, rozbijającą się na ślizgawce, zaczepiającą przechodzące panienki: zdarza się, że pchającego się do teatru lub na koncert, bez biletu wyrzucają — no! ale to zupełnie odpowiada nazwisku jakie im dajemy: „organizacya wyrzutków polskich“.

Wodzowie armii pracują nad planami hucznego, wiosennego wymarszu. P. Dawidowski, jenerał-emeryt bywa na balach w szarfie jeneralskiej, nie wiem, czy dla reklamowania swej „armii“, czy dla innych celów.

* * *

Kiedy p. Bobrzyński mógł ks. Bielenina, osławionego antinarodowca, fanatyka klerykalnego, antesemitę i tyrana młodzieży w internacie, zamianować dyrektorem seminaryum w Krakowie, to spodziewam się, że p. wiceprezydent nie pominie w awansie, w najbliższej przyszłości następującej grupki pedagogów:

p. Kozłowski, który zaczyna wykłady od Pana Boga a kończy na pośle Daszyńskim, który nowy rząd stworzył dla Francyi: „masońsko-socyalistyczno-żydowski“. Taki publicysta powinien być co najmniej dyrektorem w V. gimnazyum w Krakowie.

p. Kropowicz, który zapomocą małżeństwa stał się krewnym inspektora, a więc tem samem wreszcie zdał egzamin: oceniając jego zasługi na polu wygłaszania frazesów hr. Tarnowskiego, przeniesiono go do III. gimnaz., aby mógł tu wypróbować swe młode, a dużo obiecujące siły! Zostawszy profesorem literatury polskiej i psychologii ma pole do zwalczania posła Daszyńskiego: w psychologii nie ma przykładu, w którymby nie ukłuł Daszyńskiego, a nawet raz wyraził się do

ucznia nieprzyzwoicie siedzącego „nie myśl sobie, że siedzisz w towarzystwie Daszyńskiego“. Powinien awansować na zastępcę prof. Kozłowskiego w V. gimnazyum.

p. Paczowski, który przemawia do uczniów zapomocą bicia laską, targania za uszy.

p. Hołubowicz delikatnie przemawia do uczniów „bydło“.

Tacy ludzie są naszymi kierownikami, chyba na wstyd Galicyi a na urągowisko obcokrajowcom! R. S.

...Cóż my winni, że kochać nie możem,
Gdy się wszystko tak płaszczy i karli.

Rzeszów w styczniu. Dużo się mówi i pisze, zwłaszcza w klerykalnych i stańczykowskich pismach, o obowiązkach młodzieży względem swoich przewodników „duchowych“, o zobopólnej serdecznej miłości, o nierozelwalnych węzłach przywiązania. Taki stosunek pomiędzy profesorem i klasą wystawiają pismacy konserwatywni jako cel dążeń większości profesorów, a zarazem załamują ręce na widok tej „zepsutej“ młodzieży, która nie chce zrozumieć szlachetnych zamiarów pp. pedagogów i nienawidzi ich z całego serca. Czy jednak ktokolwiek z tych niepowołanych naszych opiekunów gazeciarskich zastanowił się głębiej nad tą sprawą, czy wejrzał bliżej w stosunki gimnazyalne w Galicyi? Czy może on wymagać od ucznia, uciskanego nieraz brutalnie przez c. k. pedagogów, nie już miłości, ale przynajmniej choć trochę szacunku dla owych „przewodników“ młodzieży? Czy może uczeń pozostać obojętnym na widok krzyczących nadużyć, pastwienia się silnego nad słabym (prof. Bar. nad ucz. IV kl!), na widok korupcji, jaka w niejednej szkole panuje?

Nie inaczej rzecz się ma u nas. Młodzież rzeszowska niejednokrotnie mogła sią przekonać, że pomiędzy profesorami parę jest zaledwie jednostek, godnych szacunku, i rzeczywiście sprzyjających młodzieży. Szkoda że wyjątkowych tych profesorów nie możemy tu nazwać po imieniu, a to z obawy, by nie narazić ich na szykany ze strony c. k. pedagogów niższych i wyższych. O reszcie c. k. ciała profesorskiego będziemy mieli jeszcze sposobność pomówić; w niniejszej korespondencyi chciałbym zwrócić uwagę czytelników na naszych katechetów.

Ci niby przewódcy „moralni“ młodzieży cieszą się w Rzeszowie jeszcze mniejszą popularnością od innych profesorów

O jednym z naszych katechetów wspominałem już w jednej z poprzednich korespondencyi: jest to fanatyk, jakich spotkać można było chyba w średnich wiekach, rozmiłowany w scholastycznej filozofi, z prawdziwie „scholastyczną“ djalektyką naciąga fakta historyczne, nagiąć się stara wiedzę do swoich celów: ideałem jego — ustrój teokratyczny, w którym acetyczni i fanatyczni księża rządziliby światem. Ma on przynajmniej tę zaletę, że jest otwartym i odznacza się szczerością poglądów i przekonań. Nie mniej ciekawym — choć w odmiennym rodzaju — jest nasz drugi katecheta. Wykształcenie jego tak jest gruntowne, że umnie on, przytaczając przykłady historyczne, „omylić się“ o 2.000 lat (autentyczne!) a wiadomości z dziedziny nauk społecznych czerpie z broszurek ks. Załęskiego. Prześladuje on specyalnie „Promień“ i „czerwone książeczki“, dość jest uczniowi nie uklęknąć, wychodząc z kościoła, by być przez niego z ambony ogłoszonym za ateistę, no i wroga „społecznego ładu“. O patryotyźmie jego niech świadczy tylko taki fakt: gdyśmy w b. r. w dzień rocznicy styczniowego powstania spiewać zaczęli: „Boże coś Polskę“, wypędził on młodzież z kościoła, mówiąc: „no idź, ty Polaku!“. I ten sam człowiek deklamuje na wykładach na temat patryotyzmu! Czyż nie jest to profanacya, czy nie są to drwiny z najświętszych uczuć młodzieży? Czy wiedza takiego faryzeuszostwa nie wpływa demoralizująco na młodzież?

Najlepszy jednak przykład cnót chrześciańskich dał on nam niedawno. Gdy na kurytarzu gimnazyalnym zastrzelił się Aleksander Obiszow, a koledzy zaczęli prosić, by dla spokoju ojca udzielił konającemu ostatnich sakramentów, nasz katecheta, „kapłan“ i „przewodnik moralny“ wzruszył tylko ramionami i rzekł: „na co mu się to zda!“ To nie wymaga chyba komentarzy.

STANISŁAW BOROWSKI.

Sanok w styczniu. Młodzież nasza znajduje się naogół w błogim stanie — spoczynku umysłowego. Są wprawdzie jednostki, które szczerze pragną pracować nad sobą i drugimi, z zapałem nawet zabierają się do tej pracy, ale zapał to chwilowy — prawdziwy słomiany ogień. A szkoda! bo dużo! jest u nas roboty, bo młodzieży naszej wskazać dopiero potrzeba, że prócz stopni celujących i złotego kołnierza, są inne jeszcze ideały.

Młodzież nasza, jak się zresztą dzieje, i w innych szkołach, jest podzielona na patrycyat i proletaryat. Potomek rodu szlacheckiego, lub synek pana radcy lub sędziego gardzi kolegą, który urodził się w naszej chacie górala i przez cały dzień biega z lekcyi na lekcyę, by zarobić na jaką taką stancję z łyżką strawy.

W wyborze książek młodzież nasza nie jest wybredną. Nie wielu jest takich, którzy przeczytali wszystkie utwory Mickiewicza, a cóż dopiero mówić o Słowackim! Natomiast często widzieć można uczniów, gorliwie i z prawdziwym zapałem czytających takie rzeczy, jak „Blada hrabina“ i „Adryanna“ Borna. Wielu jest takich (i to w wyższych klasach!), którzy żadnej lektury nie znają, ani jednej książki nie przeczytali.

Życiem narodu naszego, a szczególnie życiem politycznem mało kto się zajmuje. Są całe zastępy młodzieży, które uwierzyły na słowo c. k. światłodawcom, że młodzież powinna „obkuwać“ słówka greckie i łacińskie, a polityką interesować się nie powinna. I z takich wyrastają „obywatele kraju“!

O profesorach nie będę mówił, gdyż mam zamiar powrócić jeszcze do tej sprawy. Zaznaczę tylko, że uczą nas w gimnazyum najwstrętniejszego serwilizmu. x.

Buczacz w lutym. Dziwną kolekcyę typów posiada nasze gimnazyum. Kierownikiem zakładu i panem wszechwładnym jest dyrektor Fr. Zych, historyk. Jak głębokiem jest jego fachowe wykształcenie, można wnioskować z następujących jego słów: „Igor, mąż Olgi, którego czyny śpiewa słowo o pułku Igora“... Ten nasz „samowładca“ ogłosił w IV kl., że wyrzuci za drzwi i ukarze 16-sto godzinnym karcerem ucznia, którykolwiek się do niego udał ze skargą na nauczyciela. Powodem tego „carskiego ukazu“ było to, że uczniowie IV kl. nie mogli znieść wstrętnych szowinistycznych wybryków prof. Stefkowskiego, których się ten pan dopuszczał względem kolegów — rusinów.

Drugim, nie mniej ciekawym typem jest prof. Terlecki „herbu Oksza“ Pan ten wykłada literaturę i używa zwrotów takich, jak: „Rej, mając lat 18, oddał go ojciec do szkoły“. Jest on zarazem bibliotekarzem i to idealnym, bo panuje

u niego idealny.... nieład w bibliotece. Wspaniały mamy dobór książek: „O gnoju“, „O przygodzie mądrej muchy“ etc., nawet dziwnym jakimś trafem dostało się do biblioteki parę tomów Mickiewicza, ale... brak połowy kartek. Myliłby się przytem bardzo, ktoby sądził, że wolno nam korzystać z tej „skarbnicy wiedzy“. Dla korzystania z biblioteki trzeba mieć co tydzień nowe pozwolenie od gospodarza klasy!

Długo moglibyśmy wyliczać zalety innych naszych c. k. „światłodawców“, ale nie warto. Zaznaczymy tu tylko znamienny fakt, że gdy pisma opozycyjne wystąpiły przeciwko prof. Mrycowi, znanemu ze swej ignorancyi, Rada Szkolna zamiast go usunąć, jako niegodnego sprawowania obowiązków pedagoga, pozwoliła mu wykładać w VII kl. łacinę, odebrawszy [illegible] przedmiot profesorowi, który sumiennością i dobrem sercem zdobył sobie szacunek i miłość uczniów.

Łatwo domyśleć się, jak straszne są skutki „pedagogicznej“ działalności wszystkich tych panów. Niesłusznie prześladowane dziecko udaje się do dyrektora i... zostaje wyrzucone za drzwi. Nic dziwnego, że w tych dniach wywieziono do Lwowa trzeciego już kolegę, który ciężko zachorował... Pod krótkiemi rządami p. Zycha wypędzono tak wielu uczniów, że od buczackich wygnańców roi się w gimnazyach wschodniej Galicyi i Bukowiny. Sądzicie może, że tu panuje porządek i rygor? Nic i jeszcze raz nic. Na nocne hulatyki, na orgię patrzy się przez palce, ale biada temu, kogo ogłoszą za „ateistę“! Największą zaś zaletą w oczach c. k. pedagogów jest — nie czytać nic poza szkołą. A dość jest błahe słówko powiedzieć komukolwiek z „przełożonych“ (a wobec takiej tyranji, nie trudno o to), żeby natychmiast „wylecieć“, bo jak powiada jeden z prof.: „ty tu siedzisz dla mnie, nie ja dla ciebie“.

Tak płynie nasze życie. Polepszenia nie czekamy, — bo od kogo mogłoby ono przyjść? Byle prędzej wydostać się z tego więzienia.

R.

Podgórze w styczniu. Rządowo-klerykalno-antysemicki, a niefortunny exkandydat, prof. Krotoski (vulgo Szkaradek) powrócił już do nas po znojach kampanji wyborczej. Aż do świąt opłakiwał on swą klęskę, powrócił na krótki

tylko czas, bo już w lutym ma otrzymać urlop półroczny „dla poratowania zdrowia“. Będziemy więc pozbawieni możności i przyjemności słuchania głębokich jego klerykalnych wywodów o teoryi ewolucyi, o „przewrotowych dążnościach“ etc. Cóż robić — musimy pogodzić się z losem!

Dość jednak o Szkaradku. Chciałbym dziś opowiedzieć dzieje naszej „Czytelni“.

Przed dwoma laty powstała wśród młodzieży podgórskiej myśl utworzenia jawnego stowarzyszenia, któreby budziło samodzielny ruch umysłowy wśród kolegów. Ale już w pierwszej intstancyi, — bo na konferencyi profesorów ukręcono łeb temu projektowi. Wobec tego młodzież zaczęła się ruszać — o zgrozo! — wbrew woli i pozwolenia „przewodników“. Z przerażeniem spostrzegli pp. profesorowie ten ferment, zwłaszcza gdy kumoszki zaczęły szeptać o istnieniu w naszem gimnazyum różnych „podejrzanych ludzi“. Teraz dopiero poszli oni po rozum do głowy i zaproponowali uczniom utworzenie projektowanej przed rokiem „Czytelni“, obiecując swe poparcie. Zaczęto więc — jak się to wogóle dzieje w biurokratycznej Galicyi — zawiązywać komitety, wysadzać komisye, układać sążniste regulaminy i wielotomowe statuty... Po paru tygodniach wszystko już było gotowe, chodziło tylko o zatwierdzenie Rady Szkolnej. Działo się to wszystko w sławetnem mieście Podgórzu, roku pańskiego 1900 miesiąca czerwca. Statuty wysłano do Lwowa. Czekamy, czekamy — cisza, odpowiedzi nie ma. Wracamy we wrześniu po wakacyi — cisza. Zniecierpliwieni idziemy do dyrektora a ten z wielce tajemniczą miną wyrzekł jedno tylko słowo: „odrzucono“. Obiecanka — cacanka...

Na zakończeniu parę słów o naszym katechecie, ks. Tomasiku. Postępowanie jego z uczniami jest typowem okazem jezuickiego systemu w szkołach galicyjskich. Nie o tem zresztą chciałem mówić — kwestyę tę poruszę w następnej korespondencyi. Tu tylko chciałem podkreślić ten fakt, że nasz ks. Tomasik, oficyalny krzewiciel patryotyzmu, nie pozwala na śpiewanie w kościele „Z dymem pożarów“. Oczywiście na zakaz ten nie zwracamy najmniejszej uwagi.

L. S.

BIBLIOGRAFIA.

Bolesław Limanowski. Powstanie narodowe 1863/4 r. Lwów 1900.

W porę ukazało się to drugie, uzupełnione wydanie t. z. „mniejszej“ historyi powstania Limanowskiego: młodzież, która zaczyna coraz bardziej interesować się naszą porozbiorową historyą, znajdzie w tem krótkiem, ale treściwem dziełku dobry wstęp do głębszych studyów nad epoką ostatniego powstania. Dla braku miejsca nie możemy podać wyczerpującej recenzyi, ale postaramy się w krótkości zapoznać czytelników z duchem i treścią tej książki.

We wstępie podkreśla autor, że w ostatnich czasach ukazało się kilka dzieł o powstaniu styczniowem, które „nie wiele przynoszą faktów nieznanych, ale za to wiele okazują gorliwości w usiłowaniu zohydzenia stronnictwa rewolucyjnego“. Nie dopięły one jednak celu, można nawet twierdzić, że oddały „ważną usługę sprawie rewolucyjnej“. Jedno z nich — „Rzecz o roku 1863“, napisana przez znanego stańczykowskiego publicystę Koźmiana „niweczy doszczętnie uprzedzenie, które tłukło się jeszcze po niektórych głowach, że powstanie 1863 r. było dziełem szlachty folwarcznej“.... Autor z godną pochwały otwartością przedstawił szlachtę we właściwem świetle. Chciałaby ona przywrócenia dawnych czasów, lepszych dla siebie czasów, chociażby nawet takiego stanu rzeczy, jaki istniał w Królestwie Kongresowem przed powstaniem 1831 r. lecz chciałaby, żeby to nastąpiło bez wielkiego wysiłku z jej strony, bez wielkich ofiar, a nadewszystko z zachowaniem jej władzy nad chłopami. Jako warstwa społeczna, skazana przez historyę na zatratę, straciła wiarę i we własne siły i w możność odzyskania niepodległości państwowej własnemi siłami. Rewolucya, dźwigająca z martwej bierności gąszcz chłopski, przerażała ją, i gdyby Wielopolski okazał więcej giętkości i umiejętności w zachowaniu się swojem z nią, oświadczyła by się ona za poparciem jego rządów“. Taktyka szlachty podczas powstania polegała na tem, by pod pozorem niesienia pomocy, „odjąć powstaniu wszelkie znamiona rewolucyjne“, zapobiegać „szalonym i niebezpiecznym praktykom i eksperymentom“ i trzymać zdala „żywioły skrajne i demagogiczne“, t. j. po prostu — paraliżować działalność

tych, co powstanie rozpoczęli i nadać mu chcieli charakter walki narodowej.

„Powstaje pytanie: dlaczego w ostatnich czasach wytoczono ciężką artyleryę przeciwko powstaniu 1863 r.? Jed z wymienionych dzieł wcale nie ukrywa tego, że głównie chodzi o co innego, aniżeli o dokładne oświetlenie wypadku, który już należy do minionej przeszłości, w historyi, którego główni działacze albo spoczywają w mogiłach, albo usunęli się zupełnie z widowni politycznej. Chodzi o co innego. Ten duch rewolucyjny polski, który — jak się zdawało Targowiczanom, Stańczykom i ugodowcom wszelkiego rodzaju — został ostatecznie złamany i pogrzebany — jeżeli nie na wieki wieków, to przynajmniej na całe dożywocie dzisiejszych koryfeuszów — znowu się podnosi i podnosi groźniejszy niż dawniej, bo czerpie swe siły nie w górnych, lecz dolnych warstwach narodu.

I staje się coraz widoczniejszem, że bez stanowczej i krwawej orężnej rozprawy z najazdem nie obejdzie się. Albowiem:

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna:
Sto razy wrogów zachwiana potęga,
Skończy zwycięstwem ....

Zatrzymaliśmy się dłużej nad przedmową, by dać czytelnikom pojęcie o kierunku i duchu tego dzieła. Opowiadanie swoje rozpoczyna autor od Sejmu czteroletniego, przyczem szczególną uwagę zwraca na kwestyę włościańską. Słuszne to bardzo, bo kwestya, ta stanowi właściwą oś, około kt obraca się cała porozbiorowa historya Polski aż do styczniowego powstania. W pierwszym rozdziale przedstawia autor próby i projekty reformy włościańskiej przed 1856 r., w drugim — „nastrój umysłów w zaborze rosyjskim od 1856 aż do 1860 roku". Podział ten musimy również uznać za słuszny, bo dwie te epoki zasadniczo różnią się od siebie. Podczas gdy w pierwszym okresie próby reform, miały charakter umiarkowany (radykalne poglądy wyznawano prawie wyłącznie na emigracyi — w łonie „Towarzystwa demokratycznego"), w drugim — „czerwoni" zyskują sporą ilość zwolenników w kraju; w pierwszym okresie ogół szlachty dość obojętnie odnosił się do reform, w drugim — wśród szlachty zapanował dość duży

ruch „reformatorski“, — nie należy jednak zapomnieć, że skłaniała się ona tylko do najbardziej „umiarkowanych“, zupełnie niedostatecznych reform. Treściwie i dokładnie — na ogół biorąc — przedstawia autor dzieje tych projektów i usiłowań; jedno tylko mielibyśmy mu do zarzucenia — że nie wskazał wad, jakie tkwiły w prawach i rozporządzeniach, dotyczących włościan a wydanych za czasów Ks. Warszawskiego i Król. kongresowego. Z tego powodu obraz tego prawodawstwa przedstawiony został w świetle zbyt różowem. Zresztą nie możemy mieć tego za złe autorowi, bo nie mógł długo zatrzymać się nad tą epoką.

W dalszym ciągu opowiada autor dość szczegółowo dzieje demonstracyi przedpowstaniowych i przebieg wojny w Kongresówce i na Litwie. Skrzętnie notuje przytem udział włościan w powstaniu, prostując w ten sposób bardzo rozpowszechniony u nas. a zupełnie fałszywy ogólnik, że włościanie w Kongresówce zupełnie obojętnie odnosili się do ruchu zbrojnego.

Tej części dzieła mamy również do zarzucenia jedno: zbyt mało zostały uwydatnione wady organizacyi spiskowców i niedostateczny radykalizm w ich poglądach i taktyce.

Z powyższego wnosić mogą czytelnicy, że dziełko Limanowskiego odpowiada wszelkim wymaganiom, jakie stawiać można popularnej historyi powstania. To też gorąco polecamy je kolegom.

KRONIKA.

Wolnośc nauki w Galicyi. Wszechnica Jagiellońska złożyła nowe dowody swej „prawowierności“ politycznej — usunęła prof. Lutosławskiego. Zarówno fakt ten, jak i okoliczności, towarzyszące mu, rzucają jaskrawe światło na „naukę“ i instytucye „naukowe“ w Galicyi.

Prof. Lutosławski, jeden z pierwszorzędnych znawców filozofii greckiej, po wielu a wielu trudach został docentem filozofii na Uniw. w Krakowie. Do pierwszej chwili musiał walczyć z niechęcią władz i „kolegów“ swych, który mu zazdrościli wziętości — nie chciano mu, n. p., dawać większych sal wykładowych i robiono tysiące drobnych szykan. Nic to jednak nie pomogło, a raczej zaszkodziło c. k. profesorom. Słuchacze wiedząc o prześladowaniu prof. Lutosławskiego, jeszcze tłumniej uczęszczać zaczęli na jego wykłady. Ta popularność „kolegi“ była solą w oku senatu akademickiego, zdecydowano się więc zawiesić jego wykłady.

Sam ten fakt źle świadczy o wszechnicy, bo można się nie zgadzać z poglądami i teoryami p. L., można je zwalczać — nawet bardzo ostro, ale nie policyjnemi środkami. To jedno świadczy już, że pp. c. k. profesorom chodzi nie o podniesienie i krzewienie polskiej nauki, lecz o propagowanie z katedry klerykalizmu i lojalizmu. Przypominają się czasy z przed reformy Kołłątaja!

Ale okoliczności, towarzyszące zawieszeniu wykładów, stokroć gorsze jeszcze rzucają światło na urzędowych „uczonych“ galicyjskich. Najprzód, panowie ci nie odważyli się zawiesić wykładów prof. L. w czasie jego obecności w Krakowie; skorzystali oni z wyjazdu do Niemiec i zawiesili wykłady pod pretekstem, że prof. Lutosławski jest waryatem! Takich to nikczemnych środków chwycono się dla dopięcia celu. Tymczasem żaden lekarz w Krakowie nie badał prof. L. i całe oskarżenie jest wierutnym fałszem. Właściwą przyczyną były: popularność p. L. i odwaga, z jaką na wykładach swych krytykował unoszenia uniw. krakowskiego i t. z. „naukę“ galicyjską.

Prof. Lut., dowiedziawszy o tym frazesie, nie omieszkał w liście otwartym wyświetlić całą sprawę, a zatem zwrócił się z listem do senatu akademickiego. Co zawierał ten list — nie wiemy, dość, że grono profesorów oddało go przedstawicielowi władzy administracyjnej, p. Laskowskiemu.

W tem mamy nowy przyczynek do charakterystyki stosunków galicyjskich: profesorowie uniwersytetu polskiego występują w roli donosicieli! Postępek godny żandarmów moskiewskich.

I tacy ludzie śmią nazywać się polskimi uczonymi?!

Protest młodzieży technicznej. Otrzymaliśmy następujące oświadczenie:

„Niżej podpisani słuchacze politechniki lwowskiej gorąco protestują przeciwko uprawianej przez „Słowo Polskie“ polityce ugodowej. Dziennik ten zapomocą korespondencyj z zaboru rosyjskiego, z gruntu fałszywych lub rozmyślnie przekręcających fakty, jak, n. p. panegiryk na cześć Imeretyńskiego, koresp. o zaburzeniach w uniw. kijowskim i t. p. — wprowadza w błąd opinię publiczną, a powieściami — jak drukujące się obecnie opowiadanie p. t. „Ugodowcy“, — stara się zohydzić tych, którzy dla sprawy narodowej pracują.

Powieść ta jest paszkwilem, wymierzonym przeciw tym, którzy poświęcają się dla sprawy narodowej, niosąc życie własne w ofierze.

Takie sączenie jadu lojalizmu w organizm narodowy uważamy za czyn ohydny; obowiązek nakazuje nam napiętnować takie postępowanie, jak na to zasługuje“.

Następuje 140 podpisów.

Wieczorek Mickiewiczowski w Rzeszowie odbył się w niedzielę 20. stycz. b. r. Pierwszym punktem programu było „słowo wstępne“, wygłoszone przez dyrektora gimn., Nogaja. Mówca zaznaczył stanowisko Mickiewicza w naszej literaturze, a zarazem — w sposób zresztą dość suchy — przedstawił znaczenie jego pieśni dla ożywienia ducha narodowego.

Nastąpiły potem śpiewy i muzyka. Śpiewy, dzięki wytrwałej pracy kol. Br. udały się bardzo dobrze: szczególnie starannie wykonano sonet „Stepy Akermańskie“. Następnie kol. T. deklamował nieśmiertelny utwór naszego wieszcza — „Odę do miłości“, a kol. N. „Koncert Jankiela“. Deklamacya zbiorowa VII. kl. „Pana Tadeusza“ zrobiła jak najlepsze wrażenie. Zakończył wieczorek prof. L. wspaniałem przemówieniem, w którem przedstawił znaczeniu ideowe poezji Mickiewicza.

Polonia. Pod tym tytułem ukazał się Nr. 1. „dwutygodnika ilustrowanego“, kolportowanego przez c. k. profesorów. Pismo to, zapowiadane oddawna i oddawna reklamowane, przeszło wszelkie nasze oczekiwania. Spodziewaliśmy czegoś bladego i słabego, a znaleźliśmy coś nad wyraz marnego. Nieudolny wiersz p. t. „Słysz Polsko“, powiastka o naturze, przeznaczona widocznie dla „dorastających dzieci“, niekrytyczna krytyka dzieła: „Polonia irredenta“ Niemojewskiego, kronika odpisana z dzienników — oto treść numeru. Charakterystyczny szczegół: pod artykułami podpisują się uczniowie zupełnie otwarcie, pewni, że nie grozi im za to ani relegacya, ani inna kara. Dalsze losy „Polonii“ dadzą się łatwo przewidzieć; gorliwie kolportowana i popierana przez c. k. „światłodawców“ pozyska.... 50 abonentów i po krótkim, a pełnym chwały, żywocie umrze na suchoty -- zupełnie jak „Przyjaciel młodzieży“.

Rada szkolna wiedeńska wydała reskrypt do dyrektorów szkół średnich z żądaniem, aby starali się usunąć słuchaczów szkół wyższych o radykalnych poglądach politycznych z miejsc korepetytorów prywatnych i żeby w ogóle utrudniali im o ile możności, stykanie się z uczniami. W ten sposób proponowano dyrektorom — nie mniej i nie więcej, jak spełnianie funkcyj szpiegowskich.

Młodzież uniwersytetu wiedeńskiego, oburzona do najwyższego stopnia, udała się rektora, który obiecał zająć się tą sprawą. I stał się cud! Minister oświadczył, że o tem nic nie wiedział, i — jeszcze większy cud — że nieważne to rozporządzenie. Pierwsze byłoby możliwem w Galicyi, ale unieważnienie.... — wątpimy.

POKWITOWANIA.

Mecenas W. 20 K. na komersie (składka) 12 K 40 hl., kol. W. prowizya z różnych przedsiębiorstw 47 K 20 hl., składka w K. 2 K.

SPROSTOWANIA.

W nrze grudniowym zamiast nr. 12 ma być nr. 11, zamiast numer pojedynczy 30 hl. na prowincyi 42 hl. ma być 30 i 32 h.

OD REDAKCYI.

Proszeni jesteśmy o umieszczenie oświadczenia, że paru członków wystąpiło z redakcyi naszego pisma, nie mogąc się pogodzić z kierunkiem „Promienia“.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Władysław Matzke**.

„Drukarnia Udziałowa“. Lwów. Liudego 8.